

sposób waszych mów, żebyście się mieli z czego śmiać. Więc pomyśl, Fajdroisie, czyby ci się może i taka mowa nie przydała: gdyby tak usłyszeć o Erosie słowa prawdy, ale w takich wyrazach i w takim porządku zdań, jakie się od przypadku nasuną. Zaczem — powiada — Fajdros i inni zaczęli go prosić, żeby mówił, jak będzie uważał, że potrzeba, tak sobie.

— A tylko jeszcze — powiada — mój Fajdroisie, pozwól, że się jeszcze Agatona o jeden drobiazg zapytam, żebyśmy się z nim naprzód zgodzili, a potem już będę mówił.

— Owszem — powiada Fajdros — pozwalam, zapytaj go.

Potem dopiero Sokrates stąd jakoś miał zacząć:

— Doprawdy, mój Agatonie, bardzo mi się to podobało, kiedyś na początku mowy powiedział, że naprzód potrzeba wykazać, jaki jest sam Eros, a potem dopiero jego dzieła. Bardzo mi się taki początek podoba. Tylko, uważasz, kiedyś już tak pięknie i wspaniale opowiedział o Erosie, jaki on jest, to jeszcze mi i to powiedz: jak to jest właściwie z Erosem, czy to jest miłość czegoś, czy też niczego? Ale ja się nie pytam, czy to jest miłość ojca, czy matki — to by było śmieszne pytanie, czy Eros jest miłością ojcowską, czy macierzyńską; to nie, tylko tak samo, jak gdybym się pytał o ojca, czy ojciec jest ojcem czegoś, czy nie. Oczywiście że gdybyś miał ochotę dać mi na to właściwą odpowiedź, musiałbyś odpowiedzieć, że ojciec jest ojcem syna albo córki. Czy może nie?

— Ależ i owszem — powiedział Agaton.

— No, a matka tak samo, nieprawda?

— Zgoda i na to.

— Jeszcze mi trochę odpowiedz — powiada Sokrates — abyś lepiej wyrozumiał, o co mi chodzi. Bo, uważasz, gdybym tak zapytał: Słuchaj, ty wiesz, co to jest brat; otóż czy brat musi być zawsze czyimś bratem, czy nie?

— Musi — powiada.

— Nieprawdaż? brata albo siostry?

— Oczywiście.

— Otóż spróbuj mi to samo powiedzieć i o miłości. Czy Eros jest to miłość czegoś, czy też niczego?

— Oczywiście, on jest miłością...

— No, to — powiada Sokrates — zachowaj jeszcze dla siebie i to sobie pamiętaj, czego on jest miłością, a mnie powiedz tylko tyle, czy Eros pragnie tego, do czego się odnosi, czy nie?

— Oczywiście — powiada.

— A czy on *ma* to, czego pragnie i co kocha, a mimo to dalej pragnie i kocha, czy też on tego nie ma?

— No, może i nie ma.

— Pomyśl no — powiada Sokrates — czy tylko „może”, czy też raczej *musi* tak być, że się pragnie tego, czego się nie ma, a gdzie nie ma braku, tam i pragnienia nie ma. Bo mnie się ciągle zdaje, mój Agatonie, że tak już *musi* być. A tobie jak?

— No, i mnie się też — powiada — zdaje.

— To ładnie; a proszę cię, czy może ktoś, będąc już słusznym, pragnąć, żeby był słusznym, albo będąc silnym, pragnąć, żeby był silnym?

— Nie może, wobec tego, cośmy powiedzieli.

— Aha, bo mu tego nie brak, skoro już takim jest.

— Prawda.

— Gdyby zresztą ktoś silny pragnął być silnym — powiada Sokrates — a szybki w nogach szybkim, a zdrów

zdrowym by chciał być — no, mógłby ktoś w tych i tym podobnych wypadkach powiedzieć, że tu przecież ludzie o pewnych cechach i właściwościach pragną jednak tego, co każdy z nich ma — żeby nie było nieporozumienia, dlatego to mówię — otóż, uważasz, Agatonie, każdy z tych ludzi *musi* obecnie mieć to, co posiada, czy chce, czy nie chce, a gdzieby tam kto pragnął takich rzeczy? Ale gdyby ktoś mówił, że oto ja jestem zdrow, ale i chcę być zdrowym, albo: jestem bogaty, ale i chcę być bogatym i chcę właśnie tego, co mam, powiedzielibyśmy mu zapewne, że „Ty, człowieku, *masz* majątek i zdrowie, i siłę, a chciałbyś te rzeczy i w przyszłości posiadać, bo teraz je masz, czy chcesz, czy nie chcesz. Więc zastanów się, czy, kiedy powiadasz: »Pragnę tego, co mam obecnie«, czy ty nie mówisz właściwie: »Ja chcę i w przyszłości mieć to, co mam obecnie?». Zgodziłby się na to, nieprawdaż?

Agaton przyznał słuszność.

A Sokrates powiada: — A więc, czyż i to nie jest kochanie tego, czego człowiek jeszcze nie posiada obecnie, to pragnienie, żeby to coś *w przyszłości* istniało?

— A tak — powiada.

— Więc i w tym wypadku, i w każdym innym, kto tylko pragnie, ten zawsze pragnie tego, co jeszcze nie istnieje, czego jeszcze nie ma, czego nie posiada, pragnie być takim, jakim jeszcze nie jest, pragnie tego, czego mu brak; taki, mniej więcej, jest przedmiot każdego pragnienia, miłości?

— Oczywiście — powiada.

— Ano — mówi Sokrates — zestawmy to, cośmy powiedzieli. Więc najpierw, że Eros musi się do czegoś odnosić, a potem, że do tego, czegoś komuś brak. Prawda?

— Tak jest — powiada.

— A teraz przypomnij sobie, do czego to się Eros odnosi, jakieś powiedział w swojej mowie? A teraz pozwolisz, że ja ci przypomnę. Zdaje mi się, żeś tak jakoś mówił, że pośród bogów porządek jakiś nastął, odkąd w nich wstąpiło zamięłowanie do tego, co piękne: bo nie masz Erosa ku temu, co szpetne jest i złe. Nie tak jakoś mówiłeś?

— A mówiłem — powiada Agaton.

— Bardzo słusznie, mój przyjacielu — powiada Sokrates. — Więc jeżeli tak, to Eros byłby miłością tego co piękne, a tego, co szpetne nie? Czy może inaczej?

Przyznał.

— No, a nie zgodziliśmy się już, że miłość odnosi się zawsze do tego, czego jej brak, czego nie ma?

— Tak — powiada.

— A zatem Erosowi piękna brak i on go nie ma.

— Musi być tak — powiada.

— Jak to? Więc istotę, której piękna brak i ona go zgoła nie posiada, ty nazywasz piękną?

— Ależ nie.

— No, a czyż, wobec tego, jeszcze dalej twierdzisz, że Eros jest piękny?

A Agaton powiada: — Mój Sokratesie, zdaje mi się, że już nic nie wiem z tego, com wtedy mówił.

— Aleś, doprawdy — powiada — ładnie mówił, mój Agatonie. A jeszcze mi tylko jedno powiedz: Nie uważasz, że co dobre, to jest i piękne?

— Uważam.

— Więc jeżeli Erosowi piękna brak, a co dobre, to i piękne, to może jemu brak i dobra?

— Mój Sokratesie — powiada — ja cię zupełnie nie umiem zbijać; więc niech ci będzie już tak, jak mówisz.

— Agatonie drogi, chyba że prawdy zbijać nie umiesz, bo Sokratesa — nie tak trudno.

Ale ja ci już dam pokój, a zacznę to, co mam powiedzieć o Erosie. Słyszałem to kiedyś od pewnej osoby z Mantinei, niejkiej Diotymy. Ona się na tych sprawach doskonale rozumiała, a na wielu innych także, i kiedy Ateńczycy ofiarę składali przed zarazą, ona im na dziesięć lat tę chorobę odroczyła. Otóż ona mnie oświecała o sprawach Erosa i to, co mi mówiła, spróbuję ja wam powtórzyć zaczynając od tego, na cośmy się z Agatonem zgodzili, a potem już na własną rękę, jak tylko potrafię. I potrzeba istotnie, mój Agatonie, tak jakś ty to rozdzielił, naprzód omówić, kto to jest Eros i jaki, a potem mówić o jego dziełach.

Otóż myślę, że najłatwiej będzie przejść te rzeczy tak, jak ta niewiasta z dalekich stron ze mną je przechodziła pytaniami.

Bo ja jej też wtedy takie rzeczy mniej więcej mówiłem, jak teraz Agaton mnie, że Eros to wielki bóg i piękny, a ona mnie, tak samo jak ja jego, przekonała, że on ani piękny nie jest, jak mi się wydawało, ani dobry.

A ja powiadam: — Diotymo! Co mówisz? to Eros szpetny jest i zły?

A ona: — Nie mów tak brzydko! — powiada — alboż ci się wydaje, że jeśli coś nie jest piękne, to musi zaraz być szpetne?

— A pewnie.

— A jeśli coś nie jest mądre, to zaraz musi być głupie? Czy też nie uważasz, że istnieje coś pośredniego pomiędzy mądrością i głupotą?

— Cóż takiego?

— A mieć słuszność, ale nie umieć tego uzasadnić, nie wiesz — powiada — że to jeszcze nie jest wiedza, bo przecież w takim razie wiedza byłaby czymś nieuzasadnionym?

— Ale to i nieświadomość nie jest. Bo jeśli tak jest naprawdę, to jakże to może być nieświadomość?

— Więc takie słuszne mniemanie jest czymś pośrednim pomiędzy wiedzą i niewiedzą.

— Słusznie mówisz — powiadam.

— No więc nie wnioskuj tak, że to, co nie jest piękne, musi zaraz być brzydkie, albo że to, co nie jest dobre, jest złe. Tak samo jeśli uważasz, że Eros nie jest dobry ani piękny, nie myśl zaraz, że jest szpetny i zły, ale że to jest coś pośredniego pomiędzy jednym a drugim.

— A przecież — powiadam — wszyscy mówią, że to jest wielki bóg.

— Jak to wszyscy, powiadasz; wszyscy, którzy tego nie wiedzą, czy też i ci, którzy wiedzą?

— No, wszyscy, przecież.

A ona się roześmiała i powiada: — Mój Sokratesie, jak to może być, żeby go *wielkim* bogiem nazywali, ci, którzy go nawet za boga nie uważają?

— Kto taki? — powiadam na to.

— Ty pierwszy, a ja druga.

Ja mówię: — Jak to rozumiesz?

A ona: — Po prostu, bo powiedz mi: czy wszyscy bogowie są szczęśliwi, czy też ośmieliłbyś się twierdzić, że któryś z bogów nie jest szczęśliwy?

— A niechże Bóg broni — powiadam.

— A prawda, że szczęśliwymi nazywasz tych, którzy posiadają to, co dobre i co piękne?

- Oczywiście.
- A już się godził, że Eros nie posiada tego, co dobre i co piękne, i dlatego pragnie tych rzeczy, ponieważ mu tego brak?
- Zgodziłem się.
- Więc jakżeby mógł bogiem być ten, któremu los nie dał ani piękna, ani dobra?
- Rzeczywiście, że nie.
- A widzisz — powiada — że i ty nie uważasz Erosa za boga?
- Więc czymże by on mógł być? Człowiekiem?
- Nigdy w świecie.
- No więc czymże?!
- Tak jakem przed chwilą mówiła: czymś pośrednim pomiędzy śmiertelnymi istotami i nieśmiertelnymi.
- Więc czym, Diotymo?!
- Wielkim duchem, mój Sokratesie. Cała sfera duchów jest czymś pośrednim pomiędzy bogiem a tym, co śmiertelne.
- A jakąż on ma moc, do czego on jest?
- On jest tłumaczem pomiędzy bogami a ludźmi: on od ludzi bogom ofiary i modlitwy zanoszą, a od bogów przynosi ludziom rozkazy i łaski, a będąc pośrodku pomiędzy jednym a drugim światem, wypełnia przepaść pomiędzy nimi i sprawia, że się to wszystko razem jakoś trzyma. Przez niego trafia do nieba i cała sztuka wieszczbiarska, i to, co kapłani robią, te ofiary i ceremonie; bo bóg się z człowiekiem nie wdaje, tylko przez niego się odbywa wszelkie obcowanie, wszelka rozmowa bogów z ludźmi i w śnie, i na jawie. Kto się na tych rzeczach rozumie, ten jest człowiekiem uduchowionym, a kto się rozumie na czymś innym, na ja-

kiejś sztuce czy jakimś tam rzemiośle, ten jest prostym robotnikiem.

Istnieje wiele różnych duchów tego rodzaju, a jednym z nich jest Eros.

— A któż jest jego ojcem — powiadam — i matką?

— Dużo o tym gadać — powiada — ale ja ci powiem. Otóż kiedy się urodziła Afrodyta, ucztę bogowie wyprawiali, a między innymi był tam i Dostatek, syn Rozwagi. Kiedy już zjedli, przyszła tam Bieda, żeby sobie coś wyżebrać, bo było wszystkiego w bród, i stanęła koło drzwi. Dostatek, upiwszy się nektarem (bo wina jeszcze nie było), poszedł do ogrodu Zeusa i tam usnął, ciężko pijany. A Biedzie się zachciało, jako iż była uboga, dziecko mieć od Dostatku; zaczęła się przy nim położyć i poczęła Erosa. I dlatego to Eros został towarzyszem i sługą Afrodyty; bo go na jej urodzinach spłodzono, a z natury już jest miłośnikiem tego, co piękne, bo i Afrodyta piękna. A że to syn Dostatku i Biedy, przeto mu taki los wypadł: Przede wszystkim jest to wieczny biedak; daleko mu do delikatnych rysów i do piękności, jak się niejednemu wydaje; niezgrabny jest i jak potyrce wygląda, i boso chodzi, bezdomny po ziemi się wala, bez pościeli sypia pod progiem gdzieś albo przy drodze, dachu nigdy nie ma nad głową, bo taka już jego natura po matce, że z biedą chodzi w parze. Ale po ojcu goni za tym, co piękne i co dobre, odważny, zuch, tęgi myśliwy, zawsze jakieś wymyśla sposoby, do rozumu dąży, dać sobie rady potrafi, a filozofuje całe życie, straszny czarodziej, truciciel czy sofista; ani to bóg, ani człowiek. I jednego dnia to żyje i rozkwita, to umiera znowu i znowu z martwych powstaje, bo jest w nim natura ojcowska. A co tylko zdobędzie, to na powrót traci, tak

że ani braków nie cierpi, ani też nie opływa w dostatki. A jest pośrodku pomiędzy mądrością i głupotą. Bo to tak jest: Z bogów żaden nie filozofuje ani nie pragnie mądrości — on ją ma; ani żadna inna istota mądra nie filozofuje. Głupi też nie filozofują i żaden z nich nie chce być mądry. Bo to właśnie jest całe nieszczęście w głupocie, że człowiek nie będąc ani pięknym i dobrym, ani mądrym, przecie uważa, że mu to wystarczy. Bo jeśli człowiek uważa, że mu czegoś nie brak, czyż będzie pragnął tego, na czym mu, jego zdaniem, nie zbywa?

— Moja Diotymo — powiadam — a któż się w takim razie zajmuje filozofią, jeżeli mądry nie, a głupi także nie?

— To — powiada — nawet i dziecko zrozumie, że ci, którzy są czymś pośrednim pomiędzy jednymi i drugimi. Do tych i Eros należy. Bo mądrość to rzecz niezaprzeczalnie piękna, a Eros to miłość tego, co piękne; przeto musi Eros być miłośnikiem mądrości, filozofem, a filozofem będąc, pośrodku jest pomiędzy mądrością i głupotą. I temu też winno jego pochodzenie. Bo ojciec jego mądry jest i bogaty, a matka niemądra i biedna. Więc taka jest natura tego ducha, mój Sokratesie miły. A żeś sobie Erosa wyobrażał inaczej, to i nic dziwnego. Z tego, co mówisz, uważam, żeś brał za Erosa przedmiot miłości, a nie miłość samą. I dlatego ci się Eros taki cudny wydawał. Tak, przedmiot miłości jest naprawdę piękny, subtelny, skończony i doskonały. Ale to, co kocha, wygląda inaczej, o tak, jakem ci opowiedziała.

A ja powiadam: — Dobrze, moja pani, mówisz bardzo pięknie. Ale skoro Eros jest taki, jakież pożytek mają z niego ludzie?

— Zaraz ci to spróbuję wyłożyć. Wiesz już, jaki jest Eros, jakie jego pochodzenie, i powiadasz, że się odnosi

do tego, co piękne. Ale gdyby nas ktoś zapytał: „Sokratesie i Diotymo, czym Eros jest w rzeczach pięknych?” Albo czekaj, powiem wyraźniej: Kto kocha piękno, ten chce czego?

A ja powiedziałem, że posiadać je pragnie.

Ona mi mówi, że ta odpowiedź wymaga jeszcze takiego pytania: Co będzie miał ten, kto posiadzie piękno?

Ja powiadam: — Jakoś nie bardzo mam pod ręką odpowiedź na to pytanie.

— To tak — powiada — jakby cię ktoś zamiast o piękno pytał na przykład o dobro i mówił: „Mój Sokratesie, jeśli ktoś pragnie dobra, czego on pragnie?”

— Posiąść je — powiedziałem.

— A jakże będzie takiemu, który posiadzie dobro?

— To już — powiadam — łatwiej znajdę odpowiedź: będzie szczęśliwy.

— Naturalnie, bo szczęście polega na posiadaniu dobra i całkiem już nie potrzeba pytać, po co ktoś chce być szczęśliwy; owszem, odpowiedź jest już, zdaje się, skończona.

— Słusznie mówisz — powiadam.

— A to chcenie, ten popęd, ta miłość, uważasz, że jest wspólna wszystkim ludziom; uważasz, że wszyscy chcą zawsze dobro posiadać, i to jest miłość powszechna, czy jak mówisz?

— Tak, mówię, że to wspólne wszystkim.

— No więc dlaczego — powiada — mój Sokratesie, nie mówimy, że wszyscy ludzie kochają, skoro każdy kocha właściwie to samo i zawsze, tylko o jednych mówimy, że kochają, a o drugich nie?



— Mnie to samemu dziwne.

— No, nie dziw się — powiada — odróżniamy przecież coś, jako istotę miłości, i to nazywamy wyrazem ogólnym, a różne jej inne rodzaje różnymi określamy nazwami.

— Jak to? — zapytałem.

— Tak to. Wiesz na przykład, że twórczości jest wiele. Bo wszelka przyczyna, która wyprowadza jakąś rzecz z niebytu do bytu, nazywa się twórczością. Toteż i wszelka robota w dziedzinie każdej sztuki jest twórczością, a wykonawca jej jest właściwie twórcą.

— Słusznie mówisz.

— A jednak — powiada — nie nazywamy ich wszystkich twórcami, tylko się jeden nazywa tak, a drugi inaczej. W zakresie zaś całej twórczości wyróżniamy dokładnie jeden jej rodzaj, a mianowicie twórczość w dziedzinie wierszy i tonów, i temu rodzajowi dajemy imię ogólne. Bo przecież to tylko nazywamy twórczością (w ścisłym znaczeniu) i tych tylko zwiemy twórcami, *poetami*, którzy się zajmują tym właśnie rodzajem twórczości.

— Słusznie mówisz — powiedziałem.

— Otóż podobnie i z Erosem. W najgłówniejszym znaczeniu jest to wszelkiego rodzaju dążenie do dobra i do szczęścia. Najpotężniejsza to i najbardziej zwodnicza miłość. Ale jeśli czyjeś myśli i pragnienia są skierowane do pieniędzy, do gimnastyki czy do filozofii, wtedy się ani o miłości nie mówi, ani o miłośniku; tylko jeśli ktoś idzie w pewnym szczególnym kierunku i jest tylko jej pewnym rodzajem zajęty, wtedy się mówi, że to miłość, kochanie, miłośnik.

— Zdaje mi się, że masz rację.

— A niektórzy mówią — powiada — że kto kocha, ten szuka swojej drugiej połowy. A ja ci mówię, że miłość ani połowy nie szuka, ani całości, jeśli to nie będzie właśnie jakieś dobro. Tak, mój przyjacielu. Przecież człowiek rad by sobie i ręce, i nogi poobcinał, gdyby mu się zepsute wydawały i złe. Więc uważam, że człowiek niekoniecznie to kocha, co „jego własne”, chyba że to „jego” jest właśnie dobre, a inne złe. Zatem nie co innego ludzie kochają, jak tylko dobro. Albo myślisz może inaczej?

— Ależ dla Boga, zupełnie nie inaczej!

— A powiedzże mi, czy można tak po prostu powiedzieć, że ludzie kochają dobro?

— Tak — powiadam.

— Jak to? Więc nie należałoby dodać — powiada — że pragną je posiadać?

— A należałoby.

— A może nie tylko posiadać, ale i wiecznie je posiadać?

— A dodać by i to.

— A zatem w ogóle, przedmiotem miłości jest wieczne posiadanie dobra.

— Świętą prawdę mówisz — powiedziałem.

— A więc skoro Eros zawsze ma taki przedmiot i cel, w jakiż sposób należy zmierzać do niego, co trzeba zrobić, żeby go osiągnąć; jakie zabiegi i wysiłki zasługują na nazwę miłości? Jaka to robota? Umiałbyś powiedzieć?

— Moja droga Diotymo, ręczę ci, że gdybym sam umiał, nie dziwiłbym się wtedy tak twojej mądrości i nie chodziłbym do ciebie uczyć się tego wszystkiego.

— Czekaj — powiada — ja ci powiem. Jest to zapładnianie tego, co piękne, zarówno co do ciała, jak i co do duszy.

— To brzmi tak tajemniczo, jak wyrocznia, i nic tego nie rozumiem.

— Czekaj, ja ci to powiem jaśniej. Jest w każdym człowieku pewien płciowy pęd, cielesnej i duchowej natury. Toteż kiedy człowiek wieku pewnego dojdzie, zapładniać pragnie nasza natura. A nie może zapładniać tego, co szpetne, tylko to, co piękne. Boska to jest rzecz, i w istocie śmiertelnej te dwa tkwią nieśmiertelne pierwiastki: ten płciowy pęd i zapłodnienie. Nie masz ich nigdy tam, gdzie harmonia pewna zachodzi. Bo to, co brzydkie, nie harmonizuje z żadnym boskim pierwiastkiem, a to, co piękne — tak. Więc Piękno czas wszelkich narodzin wyznacza i narodzinom pomaga. Przeto gdy się ktoś pełen uniesienia zbliży do tego, co piękne, jakaś go radość rozpiera i w rozkoszach zapładnia i tworzy; ale gdy co szpetnego napotka, jakiś go smutek mrokiem opada, on się jak wąż w kłębek zwija i wstecz się cofa, i odchodzi, i nie zapładnia, ale cierpi nosząc się dalej z nasieniem. Przeto kto nasienia i potęgi twórczej jest pełen, ten za pięknem goni, bo go ona od tego ciężaru uwalnia. Więc nie za samym pięknem goni miłość, tak jak ty myślisz, Sokratesie.

— A za czym?

— Za płodzeniem, za tworzeniem w pięknie.

— Niech będzie — powiedziałem.

— Oczywiście rzecz — mówi.

— Ale czemuż za płodzeniem właśnie?

— Bo w zapłodnieniu jest jakiś pierwiastek wiekuisty, nieśmiertelny, o ile to być może w istotach śmiertelnych. A przecież, wobec tego, na cośmy się zgodzili, musi człowiek i nieśmiertelności pragnąć, jeżeli przedmiotem miłości jest *wieczne* posiadanie dobra. Więc wynika to

rzeczywiście z naszych rozważań, że się Eros i do nieśmiertelności odnosi.

Takich mnie rzeczy nauczyła, ile razy ze mną mówiła o miłości, a raz mi takie zadała pytanie:

— Jak myślisz, Sokratesie, jaka jest przyczyna tej miłości i tego popędu? Przypatrzże się, czy nie widzisz, jak szaleją ku sobie zwierzęta na wiosnę; czy które chodzi, czy lata, czy pływa, wszystkie miłosny szal ogarnia i najpierw je w pary łączy, a potem im każe wychowywać młode, i stare gotowe wtedy w ich obronie walczyć z najmocniejszymi nawet wrogami, choćby same były bardzo słabe, gotowe nawet ginąć w ich obronie, gotowe głodem przymierać, byleby młode przy życiu zostały, gotowe na wszystko w świecie: bo ludzie — powiada — mógłby ktoś myśleć, robią to samo z wyrachowania, ale skąd taki miłosny nastrój u zwierząt? Potrafisz powiedzieć?

Ja znowu powiadam, że nie wiem.

A ona mówi: — I ty się myślisz rozumieć kiedyś na miłości, jeżeli nawet tego nie pojmujesz?

— Toteż dlatego, jak powiadam, Diotymo, do ciebie przychodzę, bo widzę, że mi potrzeba nauczyciela. Powiedz mi tedy, jaka i tego przyczyna, i innych zjawisk w miłości?

— Zatem — powiada — jeżeli wierzysz, że miłość z natury swej zwraca się do tych przedmiotów, któreśmy tyle razy już wymieniali, nie powinieneś się i temu dziwić. Bo tutaj, w tych wypadkach, podobnie jak i tam, natura śmiertelna szuka sobie wiekuistego bytu i nieśmiertelności. A znaleźć ją może tylko na tej jednej drodze, że zostawia inną jednostkę młodą na miejsce starej. Przecież taki sam proces sprawia, że każda poszczególna istota

żyje i jest, jak się to mówi, jedna i ta sama. Przecież człowieka nazywają jednym i tym samym od dziecięcego wieku aż do późnej starości, mimo że w nim nic nie zostało z tych rzeczy, które miał z początku; on wciąż jedne rzeczy zyskuje, a drugie traci: czy to o włosach mowa, czy o wnętrznościach, kościach, krwi, czy w ogóle o całym ciele. I nie tylko z ciałem tak, ale i z duszą podobnie; przecież obyczaje, uczucia, przekonania, żądze, rozkosze, smutki, obawy, żadna przecież z tych rzeczy w nikim nie zostaje zawsze jedna i ta sama, ale jedne z nich giną, a drugie powstają. A jeszcze głupsze to, że i nauki nie tylko jedne w nas powstają, a drugie giną, i że nigdy nie jesteśmy jedni i ci sami nawet w zakresie nauk, ale się to samo dzieje z każdą poszczególną wiadomością. I dlatego się mówi o ćwiczeniach przez powtarzanie, że wiedza z nas uchodzi. Uchodzi, gdy coś zapominamy, a powtarzanie na powrót nową nam zaszczebia wiedzę w miejsce tej, która uciekła, i tak chroniąc ją od zatury sprawia, że się nasza wiedza zawsze jedną i tą samą wydaje. Tą drogą chroni się od zatury wszystko, co śmiertelne; nie tym sposobem, żeby zawsze i wszędzie było naprawdę jedno i to samo; to dane tylko temu, co boskie; ale dzięki temu, że zawsze to, co się starzeje i odchodzi, zostawia po sobie podobną, inną młodą jednostkę. Takim to sposobem — mówiła — mój Sokratesie, nieśmiertelność zyskują śmiertelne ciała i inne wszystkie rzeczy. Inaczej nie mogą. Więc nie dziw się, że każde z natury już szanuje swą latorośl. Gwoli nieśmiertelności taka te latorośle otacza troska i miłość.

Kiedym to usłyszał, dziwne mi się te myśli wydały i powiedziałem: — Doprawdy, Diotymo, ty jesteś bardzo mądra. Ale czy tylko naprawdę tak jest wszystko?

A ona, jak prawdziwy sofista, powiada: — Bądź przekonany, Sokratesie, że tak jest. Ot, spojrzysz tylko na ludzkie dążenie do sławy; dziwisz się temu, com powiedziała, ale zastanów się, pomyśl, jak się ludzie rozbijają w pogoni za rozgłosem, za tym, żeby zdobyć „sławę, co przetrwa wieki, a czasu zęb jej nie dotknie”, jak za nią gotowi w ogień skoczyć, prędzej niż za własnymi dziećmi, jak na to pieniędzy nie skąpią i trudów nie żałują, i śmiercią nawet sławę okupić gotowi. Bo czy ty myślisz, że Alkestis byłaby śmierć za Admeta poniosła, albo Achilles byłby ginął zaraz po Patrokle, albo nasz Kodros byłby naprzód ginął, byleby dzieciom królestwo zostawić, gdyby nie byli wierzyli, że „nie umiera pamięć czynów dzielnych” i że pozostanie po nich ta pamięć, którą my dzisiaj chowamy? Nigdy w świecie — powiada. — Owszem, jeśli ktoś co robi, to właśnie dla tej „nieśmiertelności czynów dzielnych”, dla „dobrego imienia u ludzi”, a im kto dzielniejszy, tym bardziej. Bo tacy nieśmiertelność kochają. I ci, którzy ciała zapładniać by radzi, do kobiet się więcej zwracają; tam każdy z nich swoją miłość zaspokaja, bo myśli, że płodząc dzieci „nieśmiertelność i pamięć, i szczęście” sobie zdobędzie. Taki, to „wszelkie zapasy na jutro — dzisiaj już pragnąłby mieć”. Ale są też tacy — powiada — co wołają zapładniać dusze, tacy, których dusze jeszcze bardziej są pełne nasienia, aniżeli ciała: nasienia, które się w duszy rodzić winno i w dusze ludzkie trafiać. A cóż się winno rodzić w duszy? Rozum i wszelkie inne dzielności. To nasienie naprawdę sięją twórcy wszelkiego rodzaju, a z wykonawców ci, którzy mają dar wynalazczy. A największy rozum — powiada — to ten, który powinien państwem i domem rządzić, a któremu na imię panowa-



nie nad sobą i sprawiedliwość. Więc kto tego nasienia od młodości jest pełen, ten coś boskiego ma w duszy. A kiedy mu wiek po temu nadejdzie, on zaraz płodzić i tworzyć pragnie, i też uważam, zaczyna chodzić tu i tam, i szukać piękna, które by zapładniał. Niczego brzydkiego nigdy zapładniać nie będzie. I woli ciała piękne niż brzydkie, bo ma nasienia wiele, i chętniej spotyka dusze piękne, dzielne, zdrowe, a najwięcej się cieszy, kiedy w kimś spotyka jedno z drugim złączone. Wówczas takiemu człowiekowi zaczyna dużo mówić o dzielności i jakim powinien być tęgi człowiek, i do czego się brać powinien, i w ogóle zaczyna go kształcić. Zetknął się z tym, co piękne, i obcować z nim zaczął. Tedy to, co w nim tęskniło od dawna i było tylko nasieniem, promieniować zaczyna i zapładniać zarówno wtedy, gdy obaj są razem z sobą, jak i wówczas, kiedy ich tylko pamięć wiąże; a co tylko który z nich wyda, to pielęgnują razem i chowają: tak że bez porównania silniejszy związek ich łączyć zaczyna, niż gdyby inne dzieci mieli, i trwalsza się między nimi przyjaźń zawiązuje, tak jak i dzieci ich piękniejsze są i mniej podległe śmierci niż czyjekolwiek inne. I każdy by wołał raczej takie płody wydawać, aniżeli ludzkie dzieci płodzić, kiedy tylko popatrzy na Homera i Hezjoda, i tylu innych dzielnych twórców, i zazdrościć im zacznie, że takie cudne dzieci zostawili, dzieci, które im nieśmiertelną sławę i pamięć przyniosły, bo same są nieśmiertelne. Patrz, jakie Likurg dzieci dał Lacedemonowi: zbawców Sparty, a można powiedzieć, że nawet całej Hellady. Cześć sobie i u nas zdobył Solon przez to, że prawa zostawił, i inni wielcy po różnych krajach mężowie, zarówno pośród Hellenów, jak i u obcych narodów; sława nagradza ich za to, że, niby

objawienia jakie, tyle pięknych dzieł ludziom przynieśli, że tyle różnych dzielności to wszystko dzieci tych ludzi. Już nawet wiele świątyń tym mężom za dzieci te zbudowano, a za ludzkie potomstwo dotychczas chyba nikomu.

Aż dotąd w święte sprawy Erosa można było, mój Sokratesie, nawet i ciebie łatwo wprowadzić; ale najwyższe, najświętsze jego tajemnice, z których to wszystko dopiero wypływa, nie wiem, czy potrafisz przeniknąć, nawet choćbyś i szedł śladami dobrego przewodnika.

Bo widzisz — powiada — właściwy rozwój miłości tak wyglądać powinien: Już za młodu chodzi człowiek za ładnymi ciałami i jeśli go tylko dobrze przewodnik prowadzi, kocha jedno z tych ciał i tam płodzi myśli piękne; niedługo jednak spostrzega, że piękność jakiegokolwiek ciała i piękność innych ciał, to niby siostry rodzone, i że jeśli ma gonić za istotą piękną, to musi dobrze oczy otworzyć i widzieć, że we wszystkich ciałach jedna i ta sama piękność tkwi. A kiedy to zobaczy, zaczyna wszystkie piękne ciała kochać; tamten gwałtowny żar ku jednemu ciału przygasać w nim zaczyna, wydaje mu się liche i małe. A potem więcej zaczyna cenić piękność ukrytą w duszach niż tę, która w ciele mieszka; toteż jeśli w kim duszę zdrową znajdzie, choćby nawet jej ciało nieszczególnie kwitło, wystarcza mu to, i kochać zaczyna, i troszczy się, i znowu takie myśli płodzi, i szuka, kto by też młodego człowieka rozwinąć potrafił; z czasem musi zobaczyć piękno ukryte w czynach i prawach i znowu pozna, że i ono w każdym jest jedno i to samo. Wtedy mu się piękno ciał zacznie wydawać czymś małym i znikomym. Od czynów przejdzie do nauk,

a kiedy całą ich piękność zobaczy, kiedy na takie skarby piękna spojrzy, nie będzie już niewolniczo wisiał u jednostkowej formy jego, nie będzie ślepo kochał piękności jednego tylko chłopaka albo człowieka jednego, albo dążenia; nie, on na pełne morze piękna już wpłynął i kiedy się na nim rozglądnie, płodzić zacznie słowa i myśli wielkie i wspaniałe, gnany nienasyconym dążeniem do prawdy; aż kiedy sił w tej pracy nabierze i hartu, jedyna mu się wiedza ukáže, która naprawdę mówi o tym, co piękne.

Teraz mnie słuchaj — powiada — jak tylko możesz, uważnie!

Ten, kto aż dotąd zaszedł w szkole Erosa, kolejne stopnie piękna prawdziwie oglądając, ten już do końca drogi miłości dobiega. I nagle mu się cud odsłania: piękno samo w sobie, on samo w swojej istocie. Otwiera się przed nim to, do czego szły wszystkie jego trudy poprzednie; on ogląda piękno wieczne, które nie powstaje i nie ginie, i nie rozwija się ani nie więdnie, ani nie jest z jednej strony piękne, a z drugiej szpetne, ani raz tylko takie, a drugi raz odmienne, ani takie w porównaniu z czymkolwiek, a z czym innym inne, ani też dla jednego piękne, a dla drugiego szpetne. I nie ukáže mu się piękno niby twarz albo ręce jakie, lub jakakolwiek cząstka cielesna, ani jako słowo, ni wiedza jakakolwiek, ani jako cecha jakiegoś, powiedzmy, stworzenia, ni ziemi, ni nieba, ani czegokolwiek innego, tylko piękno samo w sobie niezmienne i wieczne, a wszystkie inne przedmioty piękne uczestniczą w nim jakoś w ten sposób, że podczas gdy same powstają i giną, ono ani się pełniejszym nie staje, ani uboższym, ani go żadna w ogóle zmiana nie dotyka.

Więc kto od kochania chłopców zaczął, jak należy, a wznosząc się ciągle wyżej już to piękno oglądać zaczyna, ten stanął prawie u szczytu. Bo tędy biegnie naturalna droga miłości, czy ktoś sam po niej idzie, czy go kto drugi prowadzi: od takich pięknych ciał z początku ciągle się człowiek ku temu pięknu wznosi, jakby po szczeblach wstępował: od jednego do dwóch, a od dwóch do wszystkich pięknych ciał, a od ciał pięknych do pięknych postępów, od postępów do nauk pięknych, a od nauk aż do tej nauki na końcu, która już nie o innym pięknie mówi, ale człowiekowi daje owo piękno samo w sobie; tak że człowiek dopiero przy końcu istotę piękna poznaje. Na tym szczeblu życia, Sokratesie miły — mówiła niewiasta z Wieszczego Grodu w obcym kraju — na tym szczeblu dopiero życie jest coś warte: wtedy, gdy człowiek piękno samo w sobie ogląda. Gdybyś je kiedy ujrzał, nie myślałbyś go porównywać z klejnotami, szatami, czy pięknymi chłopcami, ani z młodymi ludźmi. Dziś na takie rzeczy patrzysz ty i wielu innych i zaraz każdy równowagę traci, i gwałt, byle tylko ulubieńca zobaczył i był z nim ciągle razem, gdyby tylko można, gotów nie jeść i nie pić, ale patrzeć tylko i nie odchodzić. A cóż myślisz — powiada — gdyby komu było dane zobaczyć piękno samo w sobie, nieskalane, czyste, wolne od obcych pierwiastków, nie splamione ludzkimi wewnętrznosciami i barwami, i wszelką lichotą śmiertelną, ale to nadświatowe, wieczne, jedyne, niezmienne piękno samo w sobie. Co myślisz, czyby mógł jeszcze wtedy marne życie pędzić człowiek, który aż tam patrzy i to widzi, i z tym obcuje? Czy nie uważasz, że dopiero wtedy, gdy ogląda piękno samo i ma je czym oglądać, potrafi tworzyć nie tylko pozory dzielności, bo on nie z pozora-

mi obcuje, ale dzielność rzeczywistą, bo on dotyka tego, co naprawdę jest rzeczywiste. A skoro płodzi dzielność rzeczywistą i rozwija, kochankiem bogów się staje, i jeśli komu wolno marzyć o nieśmiertelności, to jemu wolno.

— Takie to rzeczy, Fajdrocie, mówiła mi Diotyma i ja, proszę was, uwierzyłem. A skorom uwierzył, próbuję i innych przekonywać, że do osiągnięcia tego celu nikt lepiej niż Eros naturze ludzkiej pomóc nie potrafi. Niełatwo przynajmniej znaleźć innego patrona. Toteż powiadam, że każdy powinien czcić Erosa, i sam go czczę, a szczególnie się ćwicząc w miłości i innym to doradzam, a teraz i zawsze wielbię potęgę Erosa ze wszystkich moich sił. Przyjmij tedy, Fajdrocie, jeśli wola, tę mowę jako pochwałę Erosa, a jeśli nie, to ją nazwij, jak ci się tylko podoba.

Skończył mówić Sokrates i już się zaczęły odzywać pochwały, już Arystofanes miał coś powiedzieć o tej wzmiance, którą Sokrates o jego mowie uczynił, gdy wtem zaczął ktoś z wielkim hałasem walić w drzwi od ulicy, jak gdyby się pijacy po nocy rozbijali, i słychać było grę flecistki. Zaczem Agaton: — Chłopcy — powiada — skocz no który i jeżeli to kto znajomy, poproś do środka, a jeżeli nie, to powiedz, że nie pijemy, tylkośmy się już pokładli spać.

Za małą chwilę dał się słyszeć w sieniach głos dobrze pijanego Alkibiadesa. Ryczał wolim głosem, gdzie tu mieszka Agaton, i kazał się prowadzić do Agatona. Zaczem go pod ramiona wzięli i prowadzili: flecistka i kilka innych osób z orszaku. Stał w drzwiach, a wieńczył go z bluszczu i z fiołków jakiś wieniec gęsty i wstążek miał na głowie bardzo wiele. Stał i powiada:

— Obywatelom uszanowanie! Pijanego obywatela, i to bardzo mocno, przyjmiecie, panowie, do towarzystwa? A nie, to sobie dalej pójdziemy i tylko Agatonowi urządzimy wiązanie, bośmy po to przyszli. Ja ci — powiada — wczoraj nie mogłem być, ale dzisiaj na głowie wstążki przyniosłem, to je zdejmę i ustroję tę, że tak powiem, głowę tego najmądrzejszego i najpiękniejszego człowieka. Wy się śmiejecie, zem pijany; możecie się śmiać, a ja i tak wiem, że mam rację. No, więc mi w tej chwili powiedzcie: mam wejść, czy nie? Będziecie ze mną pili czy nie?

Podniósł się hałas zaproszeń, wszyscy zaczęli prosić, żeby wszedł, żeby się ułożył, i Agaton też go prosić zaczął. Szedł więc tak, jak go prowadzono, a że zdejmował równocześnie wstążki na wiązanie i oczy sobie nimi zasłonił, nie zauważył Sokratesa, tylko usiadł przy Agatonie pomiędzy nim a Sokratesem, bo ten się trochę usunął, żeby mu miejsce zrobić. Usiadł tedy i zaczął ścisnąć Agatona i wieńczyć. Powiada więc Agaton: — Rozwiążcie, chłopcy, trzewiki Alkibiadesowi, niech się on trzeci przy nas ułoży.

— Bardzo dobrze — powiada Alkibiades — ale któż tu trzeci będzie z nami pił? A równocześnie się obrócił i widzi Sokratesa. Poznał go, skoczył na równe nogi i powiada: — Na Heraklesa, a to co?! Sokrates! Znowuś tu na mnie zasiadł; zawsze gdzieś musisz wyskoczyć, kiedy się najmniej spodziewam. Po coś tu dzisiaj przyszedł? Czemuś się tu ułożył? Czemu nie koło Arystofanesa, albo może tu kto inny dowcipny, czy udaje dowcipnego; takeś sobie właśnie wyrachował, żeby dostać miejsce obok najpiękniejszego w całym towarzystwie!